Rozmaitości

Dnia 22. Sierpnia | Ner. 34. | Roku 1840.

WYIMKI
Z DZIEWICY ORLEAŃSKIEJ SZYLLERA.
TŁOMACZENIE JANA PODOLECKIEGO.

Z Aktu III. Scena trzecia.

KAROL; KSIĄŻĘ BURGUND, DIUNOA, ARCYBISKUP, SORELA.

Pojednanie Burgunda z królem Karolem.

BURGUND. *(rzucając się w objęcie króla.)*

Królu mój i Panie!
Ciebież się mógłem wyrzec — prześladować
Ciebie?

KAROL.

Daj pokój — proszę — dosyć tego.

BURGUND.

Ja! Angielczyka tego koronować!
Cudzemu wiarę przysiądz — ciebie, mego
Króla chcieć zgubić!

KAROL.

Wszystko odpuszczone,
Zapomnij o tém. Nasze pojednanie
Wszystko zaciéra — wola przeznaczenia.
Zła gwiazda to była.

BURGUND. *(biorąc go za rękę.)*

Wszystko co się stało
Muszę naprawić! zatrzeć twe cierpienia;
Chciej wierzyć — całą odzyskasz koronę,
Wioski nie braknie.

KAROL.

Nie lękam się wroga
Kiedyśmy razem.

BURGUND.

Serce mi pękało,
Wierzaj mi — kiedym walczył przeciw Tobie!
(wskazując Sorelę.)
Gdybyś był wiedział — o przysłać ją było,
Nie byłbym wytrwał łzom w jéj pięknem oku.
— Dziś piekła żadna nie skłóca nas siła,
Skorośmy wzajem dłoń podali sobie!
Nie zboczę nigdy więcej z prawéj drogi,
Prawdziwe miejsce moje przy twym boku!

ARCYBISKUP.
(staje pomiędzy nimi.

Zjednaliście się książęta! — powstaje
Francyja z swych popiołów, narodzony nowo
Fenix — piękna przyszłość dla nas się weseli,
Zagoją swe rany nieszczęśliwe kraje,
Wsie i miasta z gruzów powstaną piękniejsze,
Znów się zazielenią pola stratowane,
Lecz ci, co niezgodą waszą poginęli
Nie wstaną umarli — łzy waśnią domową
Waszą wyciśnięte — wiecznie wypłakane
Są i pozostaną! — Przyszłe pokolenie
Zakwitnie — lecz nędza styrała dzisiejsze!
Ojców w grobie szczęście wnuków nieocuci!
Zły plon niesie bratniéj niezgody nasienie.
Bierzcie z tad naukę — strzeżcie się w zapale
Miecza dobyć z pochew — złego wojny ducha
Nietrudno rozkiełznać — lecz on nie jest wcale
Sokoł unoszony, co z powietrza wróci
Na dłoń myśliwego — on dziki, niesłucha
Ludzkiego wołania — ani zawsze z nieba
Nie przyjdzie zbawienie, kiedy go potrzeba.

Scena szósta.

(Obóz angielski pali się — Anglicy uciekają, Francuzi gonią.)

MONTGOMERY. *(sam.)*

Nieprzyjaciel w koło i śmierć — gdzie się schronić?
Tu wódz rozjuszony stanął z mieczem w dłoni,
Ucieczkę zagradza i na śmierć nas goni,
Tam ona straszliwa! wszystko jak pożoga
Niszczy w koło siebie — a nigdzie mizernéj
Jamy ani krzaczka, coby mógł zasłonić!
Obym tu był nigdy nie płynął przez morze,
Nieszczęsny! próżnościąm uwiódł się; mnie sławy
Taniéj się zachciało — a dziś dola sroga
W ten mnie bój zagnała morderczy i krwawy!
Czemuż z tąd daleko nad brzegiem Sawerny
Nie jestem w bezpiecznym rodzicielskim dworze,

Gdziem zostawił matkę — z lubą narzeczoną
Moją, w ciężkim smutku! Co widzę? o biada!
Tam oto straszliwa, wynika z płomieni
Jako strach piekielny — jaskrawo, czerwono
Świecąc; — dokąd uciec? już mnie jéj spojrzenia
Ogniste chwytają — już na mnie zakłada
Z daleka niechybna wzroku sieć — tu stoję
W miejscu jak zaklęty, nogi mi krępuje
Węzeł czarnoksięzki, coraz mocniéj — muszę,
Choć niechcę, w nią patrzyć — tu, tu, postępuje!

JOHANNA.

(kilka kroków idzie naprzód i znowu staje.)

Nie będę czekał, aż nieużyta
Uderzy na mnie — o życie moje
Na klęczkach poproszę — ona kobiéta!
Może ją memi łzami poruszę.

(Gdy się chce do niéj zbliżać, ona rażno ku niemu postępuje.)

Scena siódma.

JOHANNA. MONTGOMERY.

JOHANNA.

Zginiesz! Angielka ciebie rodziła!

MONTGOMERY. *(pada jéj do nóg.)*

Stój, stój straszliwa! ani bezbronnego
Zabijaj — tarcza i miecz mój na ziemi —
Na klęczkach cię błagam, daruj mi życie,
Weź okup drogi — ojca bogatego
Mam w pięknéj Walii, gdzie się oku miła
Wije Sawerna smugi zielonémi.
Pięćdziesiąt wiosek panem go nazywa,
On jak się dowié, że mu ukochane
Dziecko w obozie francuzkim przebywa,
Ciężkiém je złotem okupi sowicie.

JOHANNA.

Biédny! zgubiony głupcze! w dziewicy
Popadłeś ręce nieubłagane,
Z nich żaden okup, ani zbawienie!
Gdybyś nieszczęściem krokodyłowi
Dostał się w paszczę, lub tygrysowi,
Gdybyś z łożyska wykradł płód lwicy,
Mógłbyś znaleźć litość, użalenie;
Lecz śmierć jest popaść w ręce dziewicy!
Mnie z światem duchów nieskazitelnym,
Surowym, straszna wiąże ugoda:
Mieczem wytępiać wszelkie stworzenie,
Które Bóg w ręce mi poda.

MONTGOMERY.

Wzrok masz łagodny choć mowę straszliwą,
Z blizka nie razisz postrachem śmiertelnym,
Pociągasz serca postacią przyjemną —
O! na łagodność, płci twojéj właściwą
Zaklinam ciebie, zlituj się nademną.

JOHANNA.

Płci méj nie wzywaj, nie zwij kobiéta!
Jak u nadziemskich duchów bezkrwistych,
Żadna płeć ludzka nie jest płcią moją,
Nié ma serca pod tą zbroją.

MONTGOMERY.

O! na miłości ustaw wieczystych
Błagam cię świętość — nie bądź nieużytą!
Została w domu luba narzeczona
Piękna jako ty — kwitnąca młodością —
Powrotu mego czeka utęskniona.
O! jeźli kochać, jeżeli miłością
Chcesz być szczęśliwa kiedy — nie rozrywaj
Okrutnie dwu serc, które miłość sprzęga!

JOHANNA.

Ziemskich bałwanów darmo nie wzywaj,
Nie święte u mnie — pogardzam niémi!
Dla mnie miłości obca potęga,
Jéj czczość mnie zająć nie zdoła.
Broń więc żywota, bo cię śmierć woła!

MONTGOMERY.

Nad rodzicami choć się zlituj memi,
Jam ich zostawił daleko — i tobie
Zostali pewno co się w domu dręczą.

JOHANNA.

Przypominasz mi szalony!
Ile przez was na téj ziemi
Żon wdowami, dzieci siérotami,
Matek bezdzietnych w żałobie!
Niechże i matki angielskie łzami
Krwawemi płaczą, niechaj tak jęczą,
Jako francuzkie jęczały żony! —

MONTGOMERY.

O jakże gorżko w cudzéj ziemi ginąć!

JOHANNA.

Kto was tu wołał? kto kazał płynąć
W kraj obcy, niszczyć plony — domowe
Burzyć ogniska — mieczem i wojną,
Nachodzić grodów świętość spokojną?
W dumnéj chciwości wam się zachciało
Zgiąć w jarzmo ludu naszego głowę,
I ten kraj wielki, jak łódkę małą
Do okrętu przyczepić waszego?
Głupcy! — na niebie, przy bożym tronie
Francuzkie godła zatknięte!
Łatwiéj z wozu niebieskiego
Zerwać gwiazdę nieskazitelną,
Niż jedną wieś téj koronie,
Co jest wiecznie niepodzielną! —
Nam dzień odwetu nadszedł wzajemnie,
Nie wam wstecz brodzić to morze święte,
Które Bóg między nami a wami
Wieczną położył granicą —
Boście wy ją przekroczyli! —

MONTGOMERY.

Muszę więc ginąć, już, już śmierć przedemną!

JOHANNA.

Giń przyjacielu! pocóż nikczemnie
Drzysz przed śmiercią — to daremno!

Człowiek losu nie uchyli!
Patrzaj na mnie, patrz — dziewicą,
Pasterką jestem między trzodami,
Ręka niewyknęła broni,
Jednak rzuciłam rodzinne pola,
I ojca i siostry lube, —
I muszę — muszę —, boża mnie wola,
Nie własna ochota goni
Wam na szkodę, nie na radość sobie,
Jak mara nieść śmierć i zgubę,
A nakoniec paść jéj łupem!
Nie pocieszy mojéj duszy
Dzień powrotu wesolego!
Siła waszych padnie trupem,
Siła żon jeszcze wdowami zrobię,
Lecz nakoniec zginąć muszę
Wedle przeznaczenia mego —
Spełń i ty twoje! nuż więc do broni!
Walczmy z sobą o łup życia!

MONTGOMERY. *(wstaje.)*

Kiedyś śmiertalna jak ja; kiedy ciebie
Oręż się chwyci —, może mojéj dłoni
Jest przeznaczono posłać cię do piekła!
Pocieszyć Angliją! oddaję siebie
Bogu mojemu — ty, coś się go zrzekła,
Wezwij twych czartów i broń twego życia.

(Walczą, Montgomery ginie.)

Scena ósma.

JOHANNA. *(sama.)*

Po śmierć szedłeś — giń! —
(odstępuje od niego i zamyśla się.)
Dziewico święta!
Jak potężnie we mnie władasz,
Mdła ręka siłą natchnięta,
W głąb serca nieczułość wkładasz.
Dusza litością rozpływa,
Dłoń kwitnące ciało wroga
Raniąc drzy — jakby burzyła
Świętokradzko kościół Boga!
Wzdrygam się na sam widok oręża,
A kiedy trzeba, powraca siła
I w drzącéj ręce, jakbyto żywa
Szabla sama tnie i zwycięża!

ANDRZÉJ DEL SARTO

(Dokończenie.)

IV.

Pracownię malarza Andrzeja w Paryżu, zwidzała wielka liczba ludzi, ale nie owych dumnych panów włoskich, lecz przystępnych, uprzejmych, rozsądnych mężów, którzy tegoż samego co ich król byli zdania: »Człowiek ten jest jenijuszem!«

Nie zbywało tam i na licznych odwidzinach dam, które z ciekawością badały, zkąd téż Andrzéj do zachwycających utworów swoich wzory bierze? »Jestto skutek natchnienia«, ozwała się z nich jedna. »I owszem, jestto skutek przypomnienia drogiéj istoty«, odrzekła druga.

»Nie inaczéj«, ozwał się Sansowino, »są to rysy twarzy oblubienicy jego, którą teraz maluje.«

»Jego oblubienicy!« dał się słyszeć jakiś nieśmiały głos w tyle za Sansowiną.

Lecz on nie dosłyszał go i mówił daléj: »Andrzéj kocha ją zapamiętale, a nie jest od niéj kochanym.«

»To być nie może«, poszepnął znowu cichutko ów głos łagodny.

Téjże saméj chwili spojrzał Andrzéj ku stronie, w któréj stał Sansowino, a głos radości i zadziwienia dobył się z jego piersi, palet wypadł mu z ręki — oczy jego spotkały się z łzawém okiem młodéj dziewicy, która odętą suknią jednéj damy prawie zakrytą była.

Żywy rumieniec oblał całą twarz młodego malarza, oczy jego od uroczéj twarzy dziewicy ani odwrócić się nie mogły. Czemuż na lat kilka pierwéj nie ujrzał téj nadziemskiéj istoty, piękniéj jak sen anioła, i tyle skromnéj, iżby samego szatana w Cheruba przeistoczyć zdołała!

Nagle powstał szmer pośród zgromadzonych gości; razem drzwi się otworzyły, a paź wszedłszy do pracowni, oznajmił przybycie — króla francuzkiego.

Andrzéj ujrzawszy monarchę, zachwiał się i zaledwo zdołał powstać z swego miejsca; w tém król łaskawym, spokojnym głosem rzekł do niego:

»Nie daj sobie przeszkadzać mistrzu, maluj, ja będę się przypatrywał twojéj robocie; lubię uważać, jak ręka posłuszna jest rozkazom uniebionego ducha. — Mości panowie«, dodał, zwróciwszy się do niektórych mężów swego orszaku, »mniemam, iż pęzlem równie jest trudno jak i szpadą robić.«

»Gdyby tylko pęzel mógł być tak potężnym jak szpada Waszéj król. Mości«, odezwał się jeden z dworzan.

Lecz pochlebstwo to nie sprawiło zamierzonego skutku, gdyż król téjże samej chwili spojrzał na Maryję, którą ciotka z powodu jéj nieśmiałości i nierozważnego zachowania się właśnie upomniała.

»Czy to piękne dziécię jest siostrzenicą pani?« zapytał król damy.

»Jestto córka pewnego oficera, który poległ na polu sławy, w służbie Waszéj król. Mości.«

»Znam jéj nazwisko, najjaśniejszy Panie«, ozwał się jakiś kawaler, tuż przy królu stojący.

»*Madame*«, odrzekł król, dziś w wieczór będą w Luwrze wielkie pokoje, przedstawisz nam swą siostrzenicę.«

Odwracając się od Maryi, rzucił przypadkiem wzrokiem na malarza, który również wpatrzył swe oczy w tę dziewczynę; Andrzéj zapomniał o obecności Franciszka I., i zaprzestał malować. Dworzanie na ten widok już szemrać zaczęli, ale król poważnym wzrokiem nakazał im milczenie. Stara ciotka zabrała się do odchodu i pociągnęła za sobą siostrzenicę; Andrzéj dla zobaczenia Maryi, jeszcze raz się obejrzał, Maryja podobnież obejrzała się z pośpiechem, oboje rzucili na siebie tkliwym wzrokiem, a król uważał potajemnie na te wszystkie ich skinienia, i łatwo się dorozumiał, o co chodziło.

»Mości panowie!« rzekł głośno, »artysta Andrzéj jest dzisiaj cokolwiek roztargnionym, obecność nasza mogłaby przykrością być dla niego — przeto oddalmy się, może w innym dniu szczęśliwszymi będziemy.« Poczém zupełnie z-cicha tak, że go sam tylko Andrzéj mógł usłyszeć, dodał: »Maryja dziś w wieczór przedstawioną nie będzie.«

Na te słowa Andrzéj rzucił się przed nim na kolana i ze łzami ucałował rękę łaskawego monarchy. —

»Sansowino, nieprawdaż, że Maryja, jak anioł piękna?« rzekł do przyjaciela, gdy król wyszedł z pracowni; »ona mieszka z tąd niedaleko — muszę się z nią widzieć.«

I tak się stało; Andrzéj widział się z Maryją jeszcze tegoż wieczora. Stara ciotka mieszkała blizko Luwru w małym domu pośród ogrodu, w około którego szedł mur nizki. Andrzéj miał nadzieję, że się Maryja w oknie ukaże.

Już zmrok wieczorny zaczął spadać, gdy się najprzód ukazała ciotka, a za nią lokaj w liberyi królewskiéj, który czekał, aż poką nie przeczytała doręczonego listu. Maryja stała w niejakiém oddaleniu. Oparta na poręczy, tocząc wzrokiem w około, zdawała się szukać kogoś. Podczas gdy inne przedmioty osłaniał cień wieczorny, promień zachodzącego słońca przedarł się przez liście drzew, i oświetlił jéj twarz uroczą. Na widok ten rzekłbyś, iż to niebianka na ziemię zstąpiła! Andrzéj wpatrzywszy się w to zjawienie, zadumał się, zapomniał o całym świecie, zapomniał o przedmiocie swego serca, widział tylko anioła!

Niebawem i Maryja spostrzegła Andrzeja, co poświadczyła słodkim uśmiéchem; lecz w téjże chwili spełzł promień słońca, ostry głos ciotki rozległ się po ogrodzie, a Andrzéj widział tylko postać przemykającą pomiędzy drzewa; po chwili już nic nie widział, sen jego wionął w powietrze. — Nazajutrz przypadkiem zastał otworzoną fórtkę ogrodu; niedługo trwało, już Andrzéj klęczał u nóg Maryi w cieniu drzew rozłożystych, i całując jéj rękę z serdecznym zapałem, wygłaszał te słodkie słowa: »Kocham cię, kocham nad życie!«

Jednego dnia, gdy król niespodzianie wszedł do pracowni malarza, podziwiał przez długą chwilę obraz św. Cecylii, nad którym malarz z gorliwością pracował. Przypatrzywszy się znanym rysom twarzy, rzekł: »Gdyby ten obraz przemówić umiał, gdyby słowami mógł oddać wszystkie myśli artysty, wtedy ta święta byłaby nam ziemską istotą. — Młodzieńcze, ja umiém czytać w sercach ludzkich; miłość twoje poznałem w owéj chwili, kiedyś oddał się smutkowi, żem zażądał, aby Maryję przedstawiono na moim dworze. Dla tego radzę ci, osiądź na zawsze we Francyi.«

Na te słowa przywiódł sobie Andrzéj w pamięć Lukrecyję, którą we Włoszech zostawił. Téjże samej chwili wszedł Sansowino i przyniósł list, który Andrzéj, poznawszy czyją ręką był pisany, mimo obecność króla rozpieczętował.

Lukrecyja nalegała w nim, aby Andrzéj niezwłocznie powracał; opisywała swoje ku niemu przywiązanie, chociaż w tém wszystkiém ani cieni prawdy nie było; nadmieniała o licznych czcicielach, którzy się jéj naprzykrzają; umiała wzbudzić zazdrość w malarzu, żaliła się, że ją tak długo samę zostawił.

Andrzéj zachwiał się, i chciał już przedsięwziąć postanowienie, ale jeszcze tego samego wieczora przybyła Maryja do pracowni — a Andrzéj nie odjechał.

Jakkolwiekbądź, opór ten nie trwał długo; wkrótce nadszedł drugi list, w którym Lukrecyja mu groziła, że do Paryża przyjedzie, jeżeli niezwłocznie do Florencyi nie powróci.

Groźba ta rozstrzygnęła; Andrzéj nie mógł na sobie przenieść, aby go Lukrecyja w oczach króla, w oczach tych wszystkich, którzy go kochali, do spełnienia ślubów zmuszała; lękał się także o Maryję, gdyby Lukrecyja skłonność jego odkryła. Upraszał więc króla, aby mu do Florencyi powrócić pozwolił. W kilku dniach było wszystko gotowe do podróży. We własnéj osobie przyszedł król pożegnać artystę. Gdy wszedł, pracował Andrzéj nad ukończeniem obrazu, który dla królewskiéj matki był przeznaczony; zapłakana stała obok niego Maryja, a Sansowino z gniewu gniótł list Lukrecyi w swéj dłoni.

»Andrzeju«, rzekł król, uderzając malarza po ramieniu, »spodziéwam się przecież, iż do nas niezadługo powrócisz i skończysz obraz dla mojéj matki.«

Andrzéj wyjąknął słów kilka, których nikt nie zrozumiał. Król wlepiwszy swój wzrok w Maryję i Andrzeja, zamyślił się na chwilę; poczém skinął na pazia, który pełen dukatów worek położył na stole.

»W Florencyi kupisz mi kilka dzieł rzeźbiarskich Celliniego, i kilka obrazów da Vinci; pamiętaj, iż je od nikogo innego tylko od ciebie odebrać sobie życzę.«

Na te słowa z wdzięcznością spojrzała Maryja na króla; na stole leżała właśnie rozwarta ewanielija. Andrzéj zerwał się żywo z miejsca i położywszy rękę na świętéj księdze, rzekł wzruszonym głosem: »Przysięgam na tę świętą ewanieliję, że wkrótce, że niezadługo powrócę!«

V.

Kilka lat upłynęło, a miasto Florencyja zgięło z boleścią kark swój pod jarzmem Medyceuszów, które wojska Karola V. na mieszkańców jego włożyły. Rzeczpospolita do grobu wstąpiła. Bój był okropny, opór rozpaczliwy, ale daremny. Rozwalone gmachy, krwią zbryzgane marmury świadczyły, że zwycięzcy srogo i nielitościwie zawładali.

Działo się to w miesiącu sierpniu 1530 roku. Słońce siało ogniste promienie z czystego błękitu, lekki wietrzyk ledwo co znacznie marszczył gładką powierzchnią rzéki Arno, nad jéj brzegami rozwodziły ptaki swe śpiéwy, ubłażająca wonią tchnęło powietrze; spokojem, wesołością oddychało niebo i ziemia, lubością i życiem świetniała cała natura. Lecz po kwiecistych wzgórzach błąkali się na pół nadzy ludzie albo raczéj straszydła, i wydawali bolesne jęki; wnętrzności ich trawiło nieugaszone pragnienie; nie wolno im było zbliżyć się do samotnie stojących domów, od których strasliwémi pogróżki ich odganiano — w okropnéj rozpaczy spieszą ci nieszczęśliwi do rzéki, żebrzą o przyjęcie, ta im otwiéra dobroczynnie swoje głębokie tonie — i śpiesznie zamyka nad niémi!

»Cóżto się znaczy? — Czemuż tu człowiek życie sobie odbiéra? — Toż woli ginąć w przepaściach rzéki Arno, niż od miecza żołniérzy?«

»Bynajmniéj, żołniérze Karola V. opuścili miasto, ale inny straszliwszy nieprzyjaciel pastwi się nad niém.«

Na czele konnego orszaku, zmiérzającego ku *Porta de popolo,* jechała piękna, młoda niewiasta na śnieżnym wiérzchowcu, którego łagodnie do pośpiechu zachęcała; ale rumak parskając z nozdrzy pianę, opiérał się i stawał dęba, gdyż trup drogę mu tamował.

Nasza amazonka objechać go musiała; w téjże chwili trzech służebnych jadących za nią w niejakiém oddaleniu, zbliżyło się do niéj, a jeden z nich ośmielił się odezwać:

»Pani hrabina nie postrzegła zapewne, żeśmy z gościńca zboczyli?«

W odpowiedź wskazała dama na spustoszały klasztor, i w tęż stronę konia zwróciła.

Stary pastérz, któremu żołniérze trzodę zabrali, i który nie mając żadnego przytułku, w gruzach rozwalonego muru się ukrywał, podniósł się z swego legowiska i zapytał:

»A z kąd Bóg prowadzi?«

»Z Francyi«, odrzekła młoda dama łagodnym głosem, i wraz zapytała: »Cóżto za klasztor?«

»Przed kilką jeszcze miesiącami, byłto klasztor *San Salvi.*«

Dama zsiadła z konia i weszła do ruin klasztoru; zakonnik, który ciężko obładowanego muła za uzdę trzymał, patrzył smutno w refektarzu na piękne *al fresco,* które jakimsiś cudownym przypadkiem od zniszczenia zachowaném zostało.

»Zapamiętalcy, przecież przejęci uszanowaniem choć to jedno pozostawili!« mówił sam do

siebie zakonnik, »przewidywałem ja bardzo dobrze, że Andrzéj, gdy jeszcze u nas w kościele księży Serwitów malował, będzie kiedyś największym jenijuszem we Włoszech; — niestety!«

»Powiédz mi, ojcze mój«, rzekła młoda dama, »stałoż się to przypadkiem, że tego malowidła nie zniszczyli żołniérze?«

»Bynajmniéj«, odrzekł zakonnik, »sam tylko podziw i uwielbienie ocaliły to malowidło; żołniérze zrabowali cały klasztor, zabrali dzwony i co tylko zabrać się dało, zniszczyli wszystko, lecz przyszedłszy w to miejsce, zaprzestali zniszczenia!«

»Czy to malowidło jest pęzla Andrzeja del Sarto?«

»Któżby tego nie odgadł? Gdzież jest drugi Andrzéj, któryby tak pewny i czysty był w rysunku? Jak rozsądnie uporządkowane są te figury! Co za koloryt!«

»Czy już nie ma w Florencyi Andrzeja?« zapytała dama wzruszonym głosem.

»Niestety, jest on tam jeszcze«, odrzekł zakonnik.

»Dzięki ci Boże! — jedźcie za mną.«

»Dokąd«, zapytał zakonnik, »dokąd mają jechać ci ludzie?«

»Do Florencyi.«

»Do Florencyi! — Jako? przebóg! niech was niebo od tego zachowa!«

»Dla czegoż nie mam jechać do Florencyi? Wszak mówiłeś ojcze, że Andrzéj żyje w tém mieście.«

»Prawda, iż żyje«, odrzekł zakonnik, »ale nie widziałażeś córko moja owych wynędzniałych, bladych ludzi, którzy po wzgórzach się błąkają i w rzéce Arno śmierć znajdują? Wszakże konie wasze musiały tratować po ciałach tych nieszczęśliwych! — «

»Cóż mnie to obchodzi? — Tędy ciągnęło wojsko cesarza.«

»Prawda, że ciągnęło, jakoż wojna zabrała już zdobycz swoję. Ale teraz inna chłosta przez to miasto przeciąga. W Florencyi panuje morowa zaraza!«

»Morowa zaraza!« powtórzyła z przestrachem służba hrabiny.

»A przecież Andrzéj pozostał w mieście«, rzekła głośno hrabina. »Bóg z nami! jedźmy.«

Zakonnik dosiadłszy muła, pogonił od nich spiesznym kłusem; na kilka kroków od klasztoru, zniknęło dwóch służących hrabiny, a na gościńcu słychać było spieszny tentent ich koni. Jeden tylko pozostał. Jechał on za swoją panią aż do rogatek napełnionych trupami, przed którémi już wprzódy hrabina się wstrzymała. Znowu się koń zaciął i spiął pod hrabiną, i z miejsca ruszyć nie chciał.

»Widzisz łaskawa pani, jestto zła wróżba!« rzekł służący, »przez miłość Boga, uchodźmy z tych miejsc zapowietrzonych!«

Téjże saméj chwili bieżał ku nim jakiś człowiek tknięty morową zarazą i padł przed niémi niedaleko na ziemię. Na ten widok, bądź z przelęknienia, bądź uniesiony koniem — uszedł od niéj ostatni służący. Hrabina uśmiéchnęła się z pogardą, i zaczęła spinać konia; ale ten stawając zawsze dęba, nie chciał ruszyć z miejsca. Nakoniec odważna niewiasta zsiada z konia, zarzuca mu cugle na szyję i rzecze:

»Kiedy tak, więc sama pójdę.«

Damą tą była — Maryja —, nadaremnie czekała z utęsknieniem powrotu Andrzeja. Zostawszy wdową po śmierci pewnego hrabiego, pojechała do Florencyi w nadziei, że tam odszuka przyjaciela swojéj młodości.

Ale dla czegożto Andrzéj pomimo szlachetnomyślność Frańciszka I., pomimo swe przyrzeczenia, do Francyi nie wrócił? Dla objaśnienia téj okoliczności przytoczymy tylko rozmowę, którą w przedjutrze przybycia Maryi miał z Lukrecyją.

Wybladły, na siłach zwątlony, z pomarszczoném czołém i roziskrzonym wzrokiem siedział Andrzéj przy stoliku, na którym leżały pieniądze.

»O Lukrecyjo!« rzekł, »ty nie słyszysz głosu, który wiecznie dzwoni w mém uchu: Zwróć królowi francuzkiemu pieniądze, któreś nieprawym sposobem zatrzymała; tyś je zabrała, chociaż one nie do nas, ale do Leonarda, Michała Anioła i Celliniego należały, za które ich misterne dzieła pokupić miałem; — okradłem najzacniejszego z królów. — Dzięki niebu że oto mam teraz kwotę, którą Oktawiusz Medycejski za dwa obrazy mi zapłacił, będzie ona właśnie dostateczną na zapłacenie mego długu. Odeszlémy te pieniądze królowi, aby o mnie z pogardą nie spominał!«

To rzekłszy chciał ująć rękę swojéj żony, lecz ta z wzdrygnieniem jak gdyby od węża, pociągnęła ją do siebie. Andrzéj zapadł w ponure dumanie; Łukrecyja korzystając z téj chwili zgarnęła ze stołu pieniądze i wyszła z pokoju.

Po głowie malarza snuły się dziwaczne, fantastyczne obrazy, to miłe i nadobne jak niebiańskie duchy w postaci Maryi, to znowu straszne i trwożliwe; — zdawało się mu, że Francisżek I. do ucałowania podawał mu swą rękę i że drżące usta jego wymawiały te słowa: »Dotrzymałem mojego przyrzeczenia, wróciłem do Francyi — oto masz królu najpiękniejsze dzieło rzeźbiarza Celliniego, tu Madonnę Leonarda, ten obraz jest pęzla Julijusza Romana,

św. tego Jana Chrzciciela malował Andrzéj; żona moja chciała go sprzedać Oktawiuszowi Medycejskiemu, który znaczną kwotę zań dawał.«

Tak marząc mimowolnie, rzucił Andrzéj okiem na stół, na którym jeszcze przed chwilą złota moneta błyszczała; ale teraz już jéj nie było; Andrzéj ogląda się, szuka i woła Lukrecyi; pamięć wraca do jego duszy, woła donośnym głosem, nikt mu nie odpowiada; nareszcie wychodzi z pracowni, przebiega wszystkie pokoje i woła bez ustanku: »Lukrecyjo! Lukrecyjo!« — Lecz próżne są wszystkie pokoje, głębokie milczenie w nich osiadło; wychodzi w podwórze, nie widzi nikogo. — Wraca do pokoju swéj żony i po wysuniętych szufladach postrzega ślad śpiesznéj ucieczki. — Téjże samej chwili poziéra w źwierciadło i jakby piorunem rażony, wzdryga się przed swą własną postacią, rozciéra twarz rękami dla zniszczenia plam czarnych, które na niéj się pojawiają; lecz nadaremnie, powstaje szum w jego uszach, rozboliwa go głowa, gorej ą wnętrzności.

»Zaraza! zaraza!« woła chrapliwym głosem, bieży na dół po wschodach, z żałością wzywa pomocy, wzywa Lukrecyi i przed bramą upada!

Noc przyniosła mu ulgę; uspokoił się cokolwiek, uśmierzyła się rozpacz w jego sercu; już tylko przytłumione wydawał jęki, które ból z jego piersi wyciskał. — Nakoniec gdy dzień zawitał, zawlókł się do swéj pracowni, i na karcie papiéru zaczął skréślać obraz Maryi.

»Długo czekałem na ciebie, mój Andrzeju«, ozwał się głos tuż za jego krzesłem.

Andrzéj obejrzał się i okropnie skrzyknął. Maryja stała naprzeciw niemu. Już się chciał rzucić w jéj objęcie, ale go wstrzymała ta myśl okropna, że jest tknięty morową zarazą.

»Tyś mię odwidzić przyjechała?« rzekł — »O dzięki, dzięki ci, mój aniele, teraz umrę spokojny i szczęśliwy, bo cię widziałem — ale uchodź, uchodź z tego miejsca, choroba, która mnie zabija, jest straszliwą, nieubłaganą; nikogo ona nie oszczędza, cały świat przed nią ucieka — Patrz, zostawiono mnie samego, zamknięto w mym własnym domu. — Uchodź, uchodź, gdyż wkrótce już mi nie stanie siły, powiedzieć ci, abyś odeszła. — Cóż ty zamyślasz? — wielki Boże — nie przybliżaj się do mnie — chceszże zginąć ze mną pospołu?« —

Gdy to mówił, Maryja rzuciła się w jego objęcie i przycisnęła czoło swoje do ust zarażonego.

»Nieinaczéj, umrzéć zamyślam«, odrzekła, »chcę umrzéć przy tobie, razem z tobą w jednéj godzinie!«

»Ach, dla czegoż obrazu tego skończyć nie mogę?« rzekł Andrzéj, »posłałbym go królowi, możebym pozyskał przebaczenie jego.«

»Jać ci jego przebaczenie przyniosłam«, rzekła Maryja cichym głosem.

»Niechaj Bóg błogosławi temu zacnemu królowi«, odrzekł Andrzéj, »a teraz Maryjo, wznieśmy oczy nasze do nieba.«

Gdy to wyrzekł, oboje rzuciwszy się na kolana, błagali Boga, aby im śpieszną śmierć zesłać raczył.

Na drugi dzień znaleziono ich już nieżywych w pracowni. Bóg ich modłów wysłuchał.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo - przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 32. i obejmuje: 1) O własnościach fizycznych i chemicznych części składowych gruntu. 2) Parchy u owiec i środek ich leczenia. 3) O fabrykacyi cukru z buraków. (Dokończenie.)

W *Przeglądzie warszawskim*, piśmie literaturze, historyi i statystyce (!) poświęconém, w zeszycie 5tym z r. b. czytamy artykuł: *Rys statystyczny Galicyi według Sommera i innych.* Nie wchodząc w prawdziwość dat i liczb, za które jednak sumiennie ręczyć nie chcemy, niepodobna nie wytknąć następujących błędów, trudnych do pojęcia w artykule o kraju sąsiednim. Swiatyn nazywa autor artykułu *Swiątyniem*, Bursztyn *Burutynem*, Busk *Buczem*, Olesko *Olickiem*, Sokal *Sokolipem (!)*, Przeworsk *Przeworkiem*, Krynicę *Kuźnica*, Swoszowice *Iwoszonicami*, Seret *Deretem*, i tym podobnych w nazwiskach miast i rzek wiele jeszcze popełnia mylek, których byłby uniknął zaglądnąwszy do piérwszéj lepszéj jeografii n. p. Platera, lub któréjbądź szkolnéj. Trudnoby było przebaczyć, gdyby podobne błędy w opisie Wysp Sandwichskich popełnił. — W zeszycie 2gim tomu 3go *Pamiętnika lekarskiego warszawskiego*, jest między innémi *Wiadomość o źródłach mineralnych w Iwoniczu* (w Galicyi), rozbiéranych przez naszego uczonego Teodora Torosiewicza. *S. J.*

Znakomity malarz czeski Führich maluje właśnie w Pradze dla hrabiego Raczyńskiego do Berlina, obraz na tle złotém, przedstawiający tryjumf religii chrześcijańskiéj.

W najnowszych numerach lipskiéj »Gazety muzycznéj« czytamy obszérny nekrolog Frańciszka Lessla z Warszawy, znanego jako kompozytora.

Donoszą z Wiédnia, że znany poeta niemiecki Grillparcer, wybiéra się w podróż na Wschód i chce także zwidzić klasyczną ziemię Grecyi.

Gazette de France donosi, że Papież dwa arcydzieła starożytnéj rzeźby: Apolina Belwederskiego i Wenus Medycejską, sprzedał Cesarzowi Rossyjskiemu za dziewięć milijonów franków.

Majętny literat. Znany paryzki waudewilista Scribe ma obecnie trzy wiejskie pałace z źwierzyńcami, to jest: Montalais, Sericour i Montereau, następnie piękny, przez niego samego zamieszkany hotel przy ulicy *Olivier - Saint - Georges*, jednę hamernię, dwie fabryki skór, a w akcyjach przedsiębierstw przemysłowych kapitał, który z kilku milijonów się składa. Na guzikach jego liberyi i na drzwiczkach wytwornego powozu jego, zamiast wszelkiéj innéj ozdoby ujrzysz węża zwiniętego w obrączkę, a w jéj środku pióro, jako symbol umysłowych płodów jego.

Postęp przemysłowości w naszych czasach. Gdy zwrócimy uwagę naszę na te wielkie postępy, jakie przemysłowość od pięćdziesięciu lat w najcelniejszych państwach europejskich uczyniła, i jakie coraz z większą szybkością jeszcze dotychczas czynić nie przestaje, natenczas w duszy naszéj mimowolne obudza się zdziwienie. Olbrzymim krokiem dąży przemysłowość do celu, który co do mnóstwa i doskonałości utworów, nic do życzenia nie pozostawia. Zjawienie to jedynie wysokiemu stanowisku przyrodzonych umiejętności przypisać mamy; gdyż im głębiéj i mocniéj sięgnie wzrok nasz w tajemniczą pracownię natury, im czyściejszémi z zamętu dostrzeżeń i doświadczeń wyjdą nasze pomysły do utworzenia nowych teoryj i systemów, tém większa powstaje w nas chęć naśladowania natury, téj wielkiéj artystki, także w małych naszych pracowniach, i zastosowania do dzieł ludzkich owych mistycznych sposobów, któreśmy od niéj przejęli, a za pomocą których ona z nieprzebranego źródła bogactw swoich coraz nowe dziwy nam utwarzać jest zmuszoną. Podbicie żywiołów pod swoję władzę już od dawna było człowieka udziałem; on zaprzągł powietrze jako podjarzemne bydlę do żagli [illegible] swoich; on rozkazał wodzie w nierównie [illegible] zakresie czynić

sobie posługę, niż ją w dawnych czasach wykonywali niewolnicy. Posłusznie pędziła woda nasze młyny i kołowroty, a z równą uległością wysadzał ogień kamienne bryły z ich legowiska, rozkładał chemicznie i wjedno ciało spajał różno-rodne metale. Teraz nowym talizmanem, który niegdyś tylko w arabskich bajkach miał swoje miejsce, zaprzągnięto do nieustannéj pracy w parowych machinach trzy duchy żywiołne, które nietylko rękodzielnie nasze w ruch pędzą, ale nawet okręty naprzeciw falom i wiatrom, tudzież ogromnie ładowne powozy z niewymowną szybkością za sobą ciągną.— Chemija zbogaca nas codziennie nowémi i nigdy nieprzewidzianémi *produktami* i *eduktami;* odkrywa stosunki składania ciał i materyi podług ich części składowych i piérwiastków, przezco bez błąkania istotnie po omacku i trwonienia czasu i kosztu nadaremnie, wszystkie techniczne operacyje podług pewnego biegu natury przysposobić a nawet skutek ich z pewnością naprzód oznaczyć możemy.—Chemija podniosła się teraz do tego stopnia, iż niepozorne gatunki ziemi w drogie klejnoty,—szkło wzdatne do przędzenia włókna,—krochmal, drzewo, papiér i szmaty w cukier, — masne rodzaje tlustości w ciała rodzaju woskowego (*Stearin, Margarin*), alkohol w mgnieniu oka w kwas octowy zamienia, (platyną)—z wielo-kolorowych roślin lub zwierzęcych substancyj, w przeciągu kilku minut wszelką barwę wyciąga (blechowanie chlorem) — obrazy, które przez łamanie się promieni słonecznych w ciemnéj przestrzeni powstaną, w najdelikatniejszych zarysach i odcieniach podobnie jak na rycinie podług natury na papiérze utrwala. (Heliografija, dagerotypia, fotogeniczne obrazy ciemni optycznéj.) Niemniéj téż i mechanika stara się podkładać swoje dźwignie i koła pod wszystkie człowieczeństwo przyciskające ciężary. Wszędzie przedstawia się nam to widowisko, iż machina z największą doskonałością wykonywa to, co tysiące rąk ludzkich i to niedoskonale do skutku przywieść mogą!

Kobiéty drukarzami. Włość Gernay położona przy gościńcu, który z Paryża do Fontainebleau prowadzi, zbogacona będzie wkrótce przemysłem, który w swoim rodzaju sławę jej zjedna. Powstanie tam nowa drukarnia, do któréj samę tylko płeć żeńską przyjmować będą. Zecery, korektorowie, drukarze, zgoła wszystkie stopnie armii typograficznéj, wystąpią w ubiorze kobiecym. Pewien Anglik miał dać pierwszy pomysł do tego przedsiębierstwa.

Wielka taniość. W Bawaryi i Wirtembergii w porównaniu z innémi państwami, jest tak wielka taniość w gospodach, iż podróżni w tych krajach, pod względem wydatków pienięźnych, bynajmniéj użalać się nie mogą. I tak w Monachowie, jak pan Lewald wydawca dziennika: *Europe* donosi, w kawiarni *Freuen* za 9 krajcarów dostaniesz rosołu, sztukę mięsa i jarzyny, a dodawszy 3 krajcary, będziesz miał pieczeń i sałatę. Wszystko to jest czysto i smacznie sporządzono. — W Sztutgardzie za 24 kr. siadasz do wyśmienitego *tables d'hôtes*, który znajdziesz zastawiony, nietylko rybą, dziczyzną i młodą jarzyną, ale nawet tem wszystkiem, co tylko pora roku z sobą przynosi. Nad 30 kr. za obiad nie przyjmują, nawet najznaczniejsze oberże, i dają za to ośm półmisków równie jak i należące do tego przysmaki, wety i t. p.

Dzień wolności niewolników w Hawannie. Dzień szósty miesiąca stycznia jest jedynym dniem, w którym wszyscy Murzyni są wolnymi, w którym się swoim dzikim sposobem weselą i przez 12 godzin do swego rodzinnego kraju przeniesionymi być mniemają. W tym dniu wszystkie ulice i publiczne miejsca, słowem, całe miasto staje się dla nich otworem, wtedy przeciąga gromadami, każde plemię osobno, w ubiorach narodowych przez miasto, i wśród okropnéj, uszy przerażającéj muzyki, wyprawia dzikie, częstokroć bardzo nieprzyzwoite tańce narodowe. Większa część z nich występuje całkiem nago, jedynie różno-kolorową przepaską osłonięta z piórami i wstążkami we włosach. Przewodcami każdego z tych orszaków, bywają zwykle dawni książęta afrykańscy, którzy teraz w Hawannie buty i konie chędożyć muszą, i tylko na tym dniu w swym książęcym ubiorze wystąpić mogą, to jest z wypchanym niekształtnie i dzwonkami ozdobionym tyłem, którym nieustannie kołyszą, a w znak swojéj godności symbol narodowy, to jest: ogon krowi w ręku swém noszą. Wtedy w sposób bachantek tak rozpustne wyprawiają tańce, iżby europejskie damy od takiego widoku ze wstrętem uciekały, gdy przeciwnie Kreolki najmilej się im z balkonów przypatrują. Otrzymują oni dary od każdego domu, przed którym tańce wyprawiają. Niektórzy z ich przewodców mają maskę na twarzy, inni chodzą na szczudłach, inni znowu na grzbiecie drugich jeżdżą. Ubiory ich są tak dziwaczne jak sobie tylko wyobrazić można. Chętnie znosi człowiek ten zgiełk piekielny, rozważywszy, że ci biedni ludzi z 365 dni, jeden tylko mają, w którym są wolnymi i o swoim, prawda, iż zwierzęcym sposobem, ucieszyć się mogą.

Piérwsza małżonka Talmy. Niewiadomo nam, azali Talma i jenerał Bonaparte pod jednaką konstelacyją zrodzeni byli, ale to jest rzecz niezawodna, iż w ich stosunkach życia, wielkie podobieństwo zachodzi. Talma miał lat 23, gdy piérwszą małżonkę pojął. Jenerał Bonaparte był wprawdzie młodszy, niż ów artysta dramatyczny; atoli liczył on podobnież lat dwadzieścia i ośm, gdy się z Józefiną ożenił. Gdy wielki jenerał ten był jeszcze mało-znaczącym oficerem, uczęszczał już do artysty, o którym i później w dniach swojéj sławy nie zapomniał; gdy dla podziwiania aktora tego chodził jeszcze za kulisy teatru rzeczypospolitéj ówczesnéj, nie domyśliwał się bynajmniej, iż mu w czasie każe grać sztuki przed parterem, w którym królowie zasiadać będą! Jak Napoleon tak téż i Talma rozwiódł się z piérwszą swoją małżonką; prawda, iż powody do tego nie były te same u jednego co u drugiego. Cesarz chciał mieć na tron następcę, artysta zaś miał dwóch synów; byli to bliźniaki, którym imiona Henryk VIII. i Karol IX nadano, dla tego, iż ojciec w rolach tegoż nazwiska, najbardziej się odznaczał.— Znajomość i wziętość Julii piérwszéj jego małżonki, bardzo wiele się przyczyniły do podźwignienia talentu jego. Bez tych stosunków byłby Talma potrzebował długiego czasu, nimby sobie tak sławne imię był pozyskał. Poważna ta niewiasta godna najszczęśliwszego z swoim mężem pożycia, doznała bardzo przykrego losu. W przeciągu lat kilku, utraciła obudwóch synów, a na domiar nieszczęścia, rozwiódł się z nią Talma, którego ubóstwiała. Jednakże nawet i po rozwodzie, nie zaniedbał Talma odwidzać jéj, ile razy tylko zatrudnienia mu dozwalały. Pewnego razu rzekła do niego: »Bardzoby mi było miło, gdybyś waćpan w przyszły czwartek do mnie na obiad przyszedł.«—»We czwartek nie mogę, gdyż w ten dzień wyjadę na wieś, ale jeżeli pozwolisz w poniedziałek, przyszedłbym niezawodnie.«—»A więc dobrze, w poniedziałek.« Oboje rozstali się wzruszeni; Julija wyprowadziła go i patrzyła za nim tak długo, jak tylko zoczyć go mogła. Talma obejrzawszy się kilkakrotnie, pozdrowił ją ręką. Dotrzymał słowa, przyszedł w poniedziałek. Ale jakże okropny był przestrach jego, gdy niespodzianie spostrzegł w sieni trunnę téj nieszczęśliwéj niewiasty! Nagła śmierć jéj mocno go dotknęła. Umarła 1805 roku.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.